

Arytmia

Holt Anne



calibre 0.9.43

ANNE EVEN
HOLT HOLT

A R Y T M I A

Przełożyła
Iwona Zimnicka

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
FLIMMER

Copyright © Anne Holt & Even Holt, 2010
Published by agreement with Salomonsson Agency
All rights reserved

Projekt okładki
Dark Crayon/Piotr Cieśliński

Zdjęcie na okładce
© stock.xchng

Redaktor prowadzący
Katarzyna Rudzka

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-7839-051-0

Warszawa 2012

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Dla Amalie, Amunda, Jenny i Iohanne,
naszych dzieci

Dla serca życie jest proste: bije, dopóki może.
Potem się zatrzymuje.

Karl Ove Knausgård, Min Kamp, t. I

Wtorek, 4 maja 2010

Godzina 08.47

Szpital Uniwersytecki Grini (SUG), Bærum niedaleko Oslo

Na widok mężczyzny w jasnoniebieskiej spranej piżamie Sara Zuckerman stanęła jak wryta. Wahadłowe drzwi do sali operacyjnej cofnęły się i uderzyły ją w lewy bark. Uśmiechnęła się, żeby ukryć grymas bólu. Właściwie niepotrzebnie, bo mężczyzna jeszcze jej nie zauważył.

Pielęgniarka pomagała mu przenieść się na stół z łóżka, na którym został przywieziony. Poruszał się sztywno, jakby miał więcej niż siedemdziesiąt lat, które skończył właśnie wczoraj i w skromny sposób uczcił w szpitalu. W nieforemnej piżamie wyglądał tak krucho, że doktor Zuckerman wciąż się wahała przed wejściem do sali. Po jego włosach, gęstych i zazwyczaj zaczesanych do tyłu, znać już było czterodniowy przykry pobyt tutaj. Kiedy pochylił głowę, żeby łatwiej przesiąść się na stół, przez chwilę widziała jego kark. Kark starego człowieka, którego nie poznawała.

Ten widok sprawił, że poczuła mrowienie w koniuszkach palców i lekko pokręciła głową. Nad luźnym kołnierzykiem siwe kosmyki sklejonych od potu włosów zwisały niczym pięć strzałek wskazujących na plecy tak wychudzone, że łopatki mężczyzny sterczały pod cienkim bawełnianym materiałem jak łyżwy.

Sara Zuckerman wstrzymała oddech i poczuła, że puls jej przyspiesza. Nie powinna tu być.

Akurat w tej chwili ktoś inny powinien stać z bolącym barkiem w drzwiach do sali operacyjnej numer siedem, przedostatniego boksu w rzędzie ośmiu pomieszczeń, wzdłuż których po obu stronach biegły korytarze. Jakiś inny kardiolog mógł wykonać ten zabieg równie dobrze jak ona. A nawet lepiej, pomyślała, chociaż żaden z kolegów nie miał jej doświadczenia. Żaden nie dorównywał jej osiągnięciami, wiedzą, przygotowaniem i opinią. Była gwiazdą, megagwiazdą na niebie większym niż to rozpościerające się nad Norwegią, nad Bærum, nad tym niewielkim prowincjonalnym szpitalem, który był duży i nowoczesny w skali kraju, ale nie mógł w żaden sposób równać się z tym, w jakim niegdyś pracowała. Zuckerman była więc teraz wielka, najlepsza, najzdolniejsza wśród norweskich przeciętniaków.

Oczywiście, że nie powinna tu być. Powinna odmówić. W zasadzie odmówiła. Profesor emeritus doktor nauk medycznych Erik Berntsen, nestor skandynawskiej elektrofizjologii, musiał jednak dostać to, czego sobie zażyczył.

– Dzień dobry – przywitała się odrobinę za głośno i stanowczo za wesoło.

Za kilka minut miała przeprowadzić operację, która mimo rutynowego charakteru mogła doprowadzić do śmierci tego chudego staruszka, uważanego niegdyś przez nią za wcielenie męskiej siły. I nikt nie wiedział o tym lepiej niż sam pacjent.

Odwrócił się do niej. Ich spojrzenia wreszcie się spotkały – na króciutką chwilę, bo Sara

zaraz weszła na salę i zajęła się sprawdzaniem grubego wenflonu tkwiącego w lewym dole łokciowym. Mniejszy, wkłuty w grzbiet prawej dłoni, dostarczał do organizmu pacjenta przezroczysty płyn z worka wiszącego obok na statywie. Oczywiście wszystko było w porządku.

– Takiego znawcy tematu jak ty nie muszę informować o przebiegu planowanego zabiegu – stwierdziła Sara. – Ale z uwagi na stażystkę Karitę Solheim – skinieniem głowy wskazała młodą kobietę, która stała na baczność przy drzwiach z taką miną, jakby zaraz miała stać się świadkiem egzekucji – zrobimy to jak zawsze.

Wciąż miała trudności ze spojrzeniem pacjentowi w oczy. Dobrze wiedziała, że są żółtobrązowe i niezwykle duże, osadzone głęboko pod czarnymi brwiami, z których sterczały pojedyncze siwe włoski przydające mężczyźnie raz wesołości, kiedy indziej zaś – diaboliczności. Sara dobrze знаła jego spojrzenie – mocne, pewne siebie, z nutą arogancji, którą kiedyś uważała za jego najważniejszy zawodowy atut. Był numerem jeden, asem, jak ci, wśród których się obracała, zanim wróciła do Norwegii, czego nigdy ani nie pragnęła, ani nawet nie potrafiła sobie wyobrazić. W roku 2002, gdy zdarzył się ten wypadek, Norwegia pozostawała dla niej jedynie nieco przymglonym wspomnieniem z młodości, kiedy myślała wyłącznie o tym, żeby się stąd wyrwać.

Erik Berntsen byłby numerem jeden bez względu na to, w jakim miejscu na świecie by się znalazł. Oglądanie go w takim stanie sprawiało jej wręcz fizyczny ból.

– Powodem przyjęcia do szpitala – zaczęła Sara mechanicznie, jakby czytała informacje z formularza – była tachykardia komorowa połączona z omdleniem dwa tygodnie temu. Diagnozę zweryfikowano tydzień później metodą dwudziestoczerogodzinnej rejestracji EKG. Następnie wykonano koronarografię, która wykazała jedynie zmiany ścian. Echokardiografia potwierdziła właściwe funkcjonowanie lewej komory i EF ponad sześćdziesiąt procent. Implantacja ICD typu Mercury Deimos potrwa według planu około godziny.

Podobnie jak Sara Erik Berntsen zdawał sobie sprawę, że znalazł się wśród największych szczęśliwców w kraju. Wskazania medyczne do wszczepienia ICD, czyli implantable cardioverter-defibrillator, kardiowertera-defibrylatora kosztującego podatników ponad sto tysięcy koron, są bardziej restrykcyjne w bogatej Norwegii niż w jakimkolwiek innym kraju Europy Zachodniej. Doktor Zuckerman wysłała już w tej sprawie nieskończenie wiele pism do regionalnego wydziału publicznej służby zdrowia, w których z amerykańską bezpośredniością, niekiedy graniczącą z groźbami, zwracała uwagę władz na groteskowość faktu, że przeprowadza się tu mniej takich operacji, niż przemawiałyby za tym rozsądne wytyczne. W odpowiedzi w najlepszym razie uzyskiwała niejasne usprawiedliwienia, najczęściej jednak zbywano ją znacznie gorszym milczeniem.

– Wiesz lepiej niż inni... – kontynuowała, znów patrząc wprost na Berntsenę, który był tak spięty, że nie mógł się położyć.

Jego głowa wydawała się za duża w porównaniu z cienką szyją i Sara poczuła chęć pogłaskania go po policzku. Na szczęście zdołała się powstrzymać.

– ...że każdy zabieg chirurgiczny łączy się z pewnym ryzykiem. Najpowszechniejszym

powikłaniem jest pneumothorax, odma opłucnowa, która następuje w wyniku przebicia płuca. Podczas wszczepiania ICD boimy się również nagłej tamponady serca w wyniku przebicia jego ściany, wskutek czego worek osierdziowy wypełnia się krwią. Może to doprowadzić do stanu krytycznego, który...

Po raz pierwszy, odkąd został tu przywieziony, Erik Berntsen próbował się uśmiechnąć, ale na jego twarzy pojawił się tylko pozbawiony radości, nieco pogardliwy grymas.

– Przepraszam – zreflektowała się Sara. – Zapominam, do kogo się zwracam.

Poza tym wciąż mówiła za głośno.

Stażystka stojąca przy drzwiach prawie przestała oddychać, chociaż nie zdążyły jeszcze nawet się uporać ze starannym umyciem dłoni i przedramion. Obie były ubrane na zielono; Sara Zuckerman w nieco za duże szarawary i nietwarzowy papierowy czepek. Ochronne fartuchy rentgenowskie wciąż leżały w przebieralni. Wychodząc, Sara zatrzymała się przy drzwiach i położyła rękę na ramieniu młodszej kobiety.

– Proszę iść ze mną. Wszystko będzie dobrze – rzuciła, bo nic mądrzejszego nie przyszło jej do głowy.

Karita Solheim, chociaż o tym marzyła, nigdy nie zostanie kardiologiem. Dla doktor Zuckerman zagadką było, jak w ogóle mogła wpaść na pomysł, żeby zostać lekarzem. Karita już po raz trzeci próbowała uczestniczyć w implantacji ICD, co w skrócie polegało na umieszczeniu pod skórą, tuż pod lewym obojczykiem maleńkiego komputera połączonego elektrodą z dolną częścią jamy serca, do której wprowadzano ją przez żyłę, a na koniec przytwierdzano do jego ściany. Dla doświadczonego kardiologa zabieg ten był stosunkowo łatwy i szybki. Karita Solheim nie była w stanie nawet mu się przyglądać.

Pierwsza próba pół roku temu zakończyła się katastrofą. Stażystka zemdlala już w chwili, gdy Sara opuściła skalpel, a upadając, straciła na ziemię tacę ze sterylnymi narzędziami, wywołując ogromne zamieszanie. Pacjent, którego podczas takiego zabiegu znieczula się jedynie miejscowo, wpadł w panikę, wyciągnął wenflon i wyrwał się upartej, ale nieco zbyt drobnej pielęgniarce.

Podczas drugiej próby Karita wyszła z sali operacyjnej po dziesięciu minutach i zniknęła ze szpitala na trzy godziny.

To była jej ostatnia szansa. Wiedziały o tym obie.

Psychiatria, pomyślała Sara Zuckerman, szybkim krokiem zmierzając w stronę przebieralni ze stażystką wlokącą się za jej plecami jak wystraszony szczeniak. Powinna się zająć psychiatrią. Uniknie kontaktu z prawdziwą medycyną.

Naprawdę tak uważała, ale przebywała w Norwegii już dostatecznie długo, by wiedzieć, że nigdy nie powie tego głośno.

Przez przeszkloną ścianę przebieralni widziała salę operacyjną. Erik Berntsen w końcu się poddał i położył płasko na stole. Wkładając ciężki fartuch rentgenowski, zauważyła, że pacjentowi drżą ręce. Prawa dłoń zwisała mu ze stołu, a ślubna obrączka na niej wyglądała na luźniejszą, niż to zapamiętała. Sara nigdy wcześniej nie zauważyła, że grzbiety dłoni Berntsena są upstrzone bladobrunatnymi starczymi plamami wątrobowymi. Z zacięciem zaczęła szorować sterylną szczotką własne, a potem przedramiona – mocno i dłużej niż

przyjęte pięć minut. Dopiero kiedy Sivert Sand, programista z firmy Mercury Medical, demonstracyjnie spojrzął na duży ścienny zegar, uniosła mokre dłonie, odsuwając je od ciała. Drzwi do sali otworzyła stopą, uważając, żeby niczego nie dotykać.

– Pieniądze albo życie – mruknął Sivert Sand.

Irytował ją. Ale był zdolny, a poza tym zawsze musiał im asystować ktoś z Mercury Medical, żeby zaprogramować i przetestować urządzenie bezpośrednio po umieszczeniu go w ciele pacjenta.

Pielęgniarka operacyjna już zdążyła otworzyć paczkę ze sterylną zawartością. Na samej górze leżały dwa papierowe ręczniki, które Sara czym prędzej chwyciła i starannie wytarła nimi ręce. Rękawiczki w rozmiarze sześć i pół znajdowały się tam, gdzie powinny. Pielęgniarka pomogła jej zapiąć sterylny fartuch na plecach. Potem włożyła jeszcze dwie pary rękawiczek, jedną na drugą. Najpierw zielone, potem szare. Ordynator Sara Zuckerman była gotowa do przeprowadzenia pierwszego tego dnia zabiegu.

Podeszła do stołu. Erik Berntsen zamknął oczy. Zakryte miał całe ciało z wyjątkiem starannie oczyszczonego pola o powierzchni dziesięć centymetrów na cztery tuż pod lewym obojczykiem. Zwisająca ze statywu płócienna zasłonka przylegała prostopadle do jego szyi – zarówno w celach higienicznych, jak i po to, by uniemożliwić mu oglądanie tego, co się dzieje po jej drugiej stronie.

Pielęgniarka anestezjologiczna spytała obojętnym głosem:

– Keflin?

– Tak – odparła doktor Zuckerman. – Dwa gramy dożylnie.

Zerknęła na monitory. Wskazywały normalne ciśnienie krwi, prawidłowy rytm zatokowy i odpowiednie nasycenie tlenem.

Pielęgniarka podała antybiotyk przez wenflon.

– Jak się miewa piesek? – spytała Sara, zaglądając za zasłonkę, po czym kazała wyregulować dwie lampy nad polem operacyjnym. – Radzi sobie z ogonem krótszym o jedną trzecią?

Pacjent nie odpowiedział. Sivert Sand nucił jakiś nieznośny przebój, pielęgniarka anestezjologiczna Frid Moelv siedziała nieruchomo przed swoimi monitorami, a Karita Solheim małymi krokami cofała się już od stołu operacyjnego.

– Wszystko będzie dobrze, Erik. – Sara Zuckerman nachyliła się lekko do ucha pacjenta i wyszeptowała: – Robiłam to mnóstwo razy. Jestem jedną z najlepszych, przecież wiesz. Rozluźnij się, dobrze?

Ledwie uchylił powieki. Próbował się uśmiechnąć, cicho chrząknął i zacisnął obie dłonie.

– Zaczynaj – powiedział, nie całkiem panując nad głosem. – Mów mi, co robisz. To pomoże. Będzie prawie tak, jakbym... jakbym to robił sam.

– Jasne – odparła i tak głęboko zaczerpnęła w płuca powietrza, że na maseczce zarysował się kształt jej warg. – Najpierw podam dwadzieścia mililitrów xylocainy w okolice podobojczykową... Już.

Gdy po podaniu miejscowego znieczulenia wyciągnęła igłę z ciała, pojawiło się kilka kropel krwi.

– Za pięć minut będę gotowa do nacięcia. – Nagle odwróciła się do Siverta Sanda:

– Przepraszam, ale możesz przestać?

Popatrzył na nią zdumiony.

– Co?

– To śpiewanie. Nucenie. Możesz przestać?

– A, o to chodzi. Przepraszam. To nieświadome.

Natychmiast bardzo zajęło go wpatrywanie się w stojący przed nim programator. Urządzenie przypominało laptop z początku lat osiemdziesiątych, było ciężkie i niezgrabne, ale nie miało klawiatury, tylko ekran dotykowy.

– Radzi sobie świetnie – szepnął Erik Berntsen.

– Kto? – Sara nachyliła się nad nim.

– Zorro. Bez koniuszka ogona.

– Super. Ten pies cię przeżyje.

Gdy po sekundzie zorientowała się w niestosowności tego komentarza, uniosła skalpel.

– Teraz wykonam mniej więcej pięciocentymetrowe poziome nacięcie. Tutaj...

W papierowobiałej skórze otwarła się niemal obsceniczna szpara. Sara szybko sięgnęła po aparat do diatermii unipolarnej, którym za pomocą prądu przecięła tkankę tłuszczową.

– Teraz ostrożnie dotrę do powięzi. Nie pogubiłaś się, Karito? Do powięzi, a więc tuż nad mięśniem, około dwóch centymetrów w głąb od naskórka. Dzięki diatermii przypalamy tkankę i zapobiegamy...

– Czuć spalonym mięsem – wyjąkała ochryłym głosem Karita Solheim.

– Nie przejmuj się zapachem. Uważaj.

Rana lekko krwawiła. Sara Zuckerman wbiła środkowy palec prawej ręki między mięsień a tkankę tłuszczową, żeby zrobić kieszonkę, w której później miała umieścić generator impulsów. Potem szybkim, precyzyjnym ruchem sięgnęła po niebieską kaniulę z roztworem soli.

– Najpierw musimy z niej zrobić coś w rodzaju ścieżki dla przewodnika. Wsuwam ją na ukos w stronę dołka szyjnego, żeby dotrzeć do żyły podobojczykowej, co... co mi się nie udało.

Zapadła kompletna cisza, gdy ponawiała próbę. Bez powodzenia. Za trzecim razem też nie trafiła w żyłę prowadzącą do serca. W ustach jej zaschło, gdy próbowała po raz czwarty.

– Cholera! Niech to jasny szlag trafi!

Kiedy Sara Zuckerman w roku 1980 jako osiemnastolatka opuszczała swoje rodzinne miasto Tromsø, by nigdy więcej tam nie wrócić, zabrała ze sobą jedynie dwie rzeczy: pomarańczowy plecak ze stelażem firmy Bergans, który babcia ze strony matki podarowała jej na bat micwę, wypełniony książkami i czystymi majtkami. A także brzydki zwyczaj przeklinania. W Stanach Zjednoczonych na coraz trudniejszych studiach ze stypendiami naukowymi, pracami i prestiżowymi projektami jej język znacznie się wygładził. Szybko stała się Amerykanką, a jeszcze szybciej odniosła sukces i z jej ust rzadko padały przekleństwa. W 2002 roku wróciła do Norwegii, zaskakując tym środowisko medyczne Cleveland Clinic, gdzie z czasem stała się osobą, z którą należało się

liczyć, a nawet więcej – znalazła się wśród tych, którzy zdecydowali, z kim należy się liczyć, i dopiero po powrocie do kraju odkryła, że starego zwyczaju niełatwo się pozbyć. Północny dialekt wprawdzie przepadł, pozostawiając po sobie ledwie zauważalny zaśpiew, ale prędko zauważyła, że musi się bardzo pilnować, żeby znów nie przeklinać.

Trafiła w tętnicę podobojczykową, jedną z tych, które połączone są z aortą wychodzącą z serca. Z igły, rytmicznie pulsując, wydobywała się jaskrawoczerwona krew.

– Niech to cholera! Kompres!

Po szybkim wyciągnięciu igły Karita Solheim zachwiała się na nogach, natomiast Frid Moelv się poderwała, o wiele zwinniej, niż ktokolwiek by o to podejrzewał tę pulchną panią w średnim wieku.

– Ups! – powiedziała, podtrzymując stażystkę miękkimi ramionami. – Ona zaraz upadnie.

– Wyprowadź ją! – syknęła Sara, naciskając na pole operacyjne. – Wyprowadź ją i nigdy nie pozwól jej tu wrócić!

– Nie chodzi mi o krew – szepnęła Karita ledwie słyszalnym głosem zza maseczki. – Nie chodzi mi o krew. Widok krwi mogę znieść. Oczywiście. Chodzi o... serce. Krew wytrzymuję, ale kiedy myślę o... Przecież ona grzebie w ser...

– Zamknij się! Wyprowadźcie ją stąd, do cholery!

– Źle się czuję... – Erik Berntsen miał twarz szarą jak popiół.

Sara, oddychając głęboko, zajrzała za zasłonkę i popatrzyła mu w oczy.

– Popełniłam błąd, Eriku. Banalny błąd. Słyszałeś, co się stało. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że wszystko jest pod kontrolą. Uspokój się. Spróbuj się rozluźnić. Ucisnę pole operacyjne przez kilka minut i będziemy działać dalej, okej?

Zwilżył wargi i wyszeptał coś, co przypominało „tak”.

Po pięciu minutach milczenia trafiła w żyłę za pierwszym razem. Przez grubą igłę wsunęła do ciała pacjenta metalowy drucik.

– Mów – powiedział ochryple Erik Berntsen. – Mów do mnie!

– Prowadnik wchodzi dobrze – rzuciła Sara. – Rentgen pokazuje mi wspaniały obraz... Już.

Na monitorze, który jak tłusty półksiężyc wisiał nad klatką piersiową pacjenta, widziała prowadnik dostający się przez żyłę do serca, a potem do prawego przedsionka i niemal do samej komory. Nie pełnił żadnej funkcji oprócz tej, którą określała jego nazwa: miał poprowadzić dalszy sprzęt.

– Poproszę o koszulkę naczyniową 7F – rzuciła w powietrze, a Linda Gundersen natychmiast podała jej piętnastocentymetrową plastikową rurkę. – Teraz po prowadniku wprowadzam koszulkę – tłumaczyła Sara. – A teraz...

Musiała użyć większej siły, aby wbić rurkę, kiedy jej czubek dotknął żyły w miejscu, w którym wchodził w nią prowadnik. W końcu koszulka została umieszczona właściwie. Rurka, a w zasadzie dwie rurki, jedna w drugiej, znalazły się w żyłę. Na zewnątrz wystawała jedynie ledwie widoczna końcówka w kształcie lejka. Prowadnik wypełnił już swoje zadanie i można go było wyciągnąć.

– Przygotować elektrodę – poleciała.

Linda Gundersen otworzyła sterylne opakowanie i połała roztworem soli ponadpółmetrowy przewód, który miał połączyć ICD z sercem. Doktor Zuckerman delikatnie wyciągnęła wewnętrzną część koszulki naczyniowej znajdującej się w piersi pacjenta i natychmiast zatkała otwór kciukiem, widząc, że wypływa z niego ciemnoczerwona krew.

W pomieszczeniu było gorąco. Za gorąco, pomyślała.

Już dawno straciła rachubę, ile takich operacji przeprowadziła. A jednak myśl o tym, że właśnie wsunęła plastikową rurkę do żyły głównej prowadzącej do serca Erika Berntsena, przyprawiła ją o zawrót głowy i uderzenie gorąca.

Bardzo nieprzyjemnego gorąca. Jakby menopauza, o której nigdy nie miała odwagi pomyśleć, nagle postanowiła jej przypomnieć, ile tak naprawdę ma lat.

Nigdy nie powinna była się zgodzić na ten zabieg.

Jej dłonie niedostrzegalnie drżały, gdy przyjmowała z rąk Lindy elektrodę i odsuwała kciuk od koszulki naczyniowej. Szybko wprowadziła przewód przez otwór do prawego przedsionka. Wzrok miała utkwiony w monitor aparatu rentgenowskiego.

– Jest – mruknęła.

– Mów do mnie! – nakazał pacjent. – Powiedziałem, że masz do mnie mówić!

– Wyciągam teraz przewód z elektrody – wyjaśniła prędko.

Ta część elektrody, która wciąż wystawała pod lewym obojczykiem bez usztywniającego metalowego przewodu, była miękka jak spaghetti. Sara Zuckerman przygięła końcówkę przewodu pod kątem czterdziestu stopni, po czym wprowadziła ją z powrotem do otworu w elektrodzie.

– Już – oznajmiła. – Teraz powinno być łatwo...

Ostrożnie popychała sztywny przewód do elektrody. Zagięcie było idealne i przewód, zamiast wbić się w żyłę główną dolną, ześlizgiwał się na zastawce trójdzielnej. Prosta sprawa, pomyślała Sara. To powinna być prosta sprawa.

– Czy tu nie jest wyjątkowo gorąco? – mruknęła.

Przewód przeszedł przez zastawkę i znalazł się na właściwym miejscu.

– Idealnie. Poproszę o śrubokręt.

Linda Gundersen podała jej narzędzie bardziej przypominające dziadka do orzechów. Sara umocowała je na końcu elektrody wystającej teraz z rany pod obojczykiem zaledwie na cztery, pięć centymetrów. Lewą ręką przytrzymała przewód pęsetą, natomiast prawym palcem wskazującym dwanaście razy obróciła śrubokręt wokół własnej osi. Zbliżenie na monitorze pokazało, że drugi koniec elektrody umocował się na dnie prawej połowy serca pacjenta. Teraz Sara do wystającej części elektrody podłączyła inny przewód, a jego luźny koniec podała Sivertowi Sandowi. Przed podłączeniem samego generatora impulsów musiała mieć pewność, że wszystko działa.

– Sprawdź siłę sygnału – poleciała ostro.

– Cztery miliwolty – odparł, kręcąc głową.

Za słabo. Siła sygnału mięśnia sercowego musiała wynosić co najmniej pięć miliwoltów,

żeby ICD funkcjonował prawidłowo. To właśnie elektryczna komunikacja między organizmem a urządzeniem miała zapewnić Erikowi Berntsenowi życiodajne wyładowania małych, ale silnych baterii w generatorze, gdyby jego siedemdziesięcioletnie serce znów zaczęło strajkować. Sara szybko wykręciła elektrodę ze ściany serca, przesunęła końcówkę o kilka milimetrów i ponownie ją umocowała.

– Trzy miliwołty – oznajmił Sivert Sand płaskim głosem.

– Cholera – szepnęła Sara i znów zwolniła elektrodę.

Po trzeciej próbie Sivert Sand wreszcie się uśmiechnął.

– Jedenaście miliwoltów!

Kardiowerter-defibrylator wychwytuje naturalne sygnały elektryczne w sercu, musi więc istnieć dostatecznie silne napięcie, by dało się je odczytać. Następnie w razie pojawienia się groźnych arytmii zapewnia odpowiednie wyładowanie i odtwarza normalny, życiodajny rytm serca. Dlatego Sara musiała przesłać testowo przez elektrodę niewielkie napięcie, aby sprawdzić, czy serce posłucha komendy ICD.

– Niezbyt dobrze się czuję – szepnął Erik Berntsen.

– Wszystko będzie w porządku – uśmiechnęła się Sara. – Jeszcze trochę roboty wykończeniowej i znów będziesz chodził jak złoto.

– Ciśnienie lekko spadło – oznajmiła spokojnie Frid Moelv. – I lekkie zwiększenie częstotliwości.

– Okej – mruknęła doktor Zuckerman. – Daj znać, jeśli to potrwa dłużej.

Otwarte opakowanie z ICD leżało już gotowe. Doktor Zuckerman za pomocą nakrętki i dwóch szwów unieruchomiła końcówkę elektrody. Na monitorze widziała, że przewód znajduje się w idealnej pozycji, i zręcznym ruchem połączyła go z kardiowerterem. Na salę operacyjną wszedł anestezjolog Eivind Storelv. Miał podać pacjentowi krótkotrwałą narkozę, aby dało się przetestować funkcję defibrylacyjną ICD.

Doktor Zuckerman już zamykała ranę, gdy Erik Berntsen syknął:

– Boli mnie w piersi. Mam... dyspnoe. – Łacińskie określenie duszności ledwie z siebie wydusił.

– Pneumothorax? – spytał Eivind Storelv.

Sara Zuckerman pokręciła głową. Nie miała żadnych powodów, by sądzić, że płuco pacjenta zostało przebite.

– Jestem gotów – oświadczył Sivert Sand.

– Dziewięćdziesiąt na siedemdziesiąt – oznajmiła Frid Moelv tonem wyostrzonym przez lęk. Widziała, że ciśnienie wciąż spada.

Sara zerknęła na monitor. Niewyraźny cień serca poruszał się słabiej niż jeszcze dwie minuty temu.

– Cholera! – niemal krzyknęła. – Tamponada!

W ścianie serca musiała się zrobić dziura. Krew powoli wypełniła osierdzie. Sara z niewytłumaczalną pewnością wiedziała, że musiało się to stać podczas którejś z poprzednich prób umocowania elektrody, bo całą sobą czuła, że obecne jej umiejscowienie jest właściwe. Podobne zabiegi wykonywała częściej, niż miała ochotę

o tym myśleć, i wszystkie jej instynkty powtarzały: „Zostaw elektrodę! Nie ruszaj elektrody!”. Zaledwie trzy razy wcześniej, trzy straszne razy wcześniej przebiła czyjeś serce. Trzy razy na kilkaset, może nawet na ponad tysiąc zabiegów, podczas których cięła pacjentów, wsuwała w ich ciała przewodnik, z precyzją co do milimetra przykręcała elektrody do serca. Ale nawet wtedy obyło się bez fatalnych konsekwencji. Nigdy nie straciła pacjenta na stole operacyjnym.

Sara Zuckerman miała czterdzieści osiem lat i ani jeden podopieczny nie umarł pod jej ręką. Być może umierali później; wielu było po prostu nie do uratowania. Naprawiała przecież chore serca, czasami zniszczone tak, że ich właścicielom nie zdołałby pomóc nikt, nawet ona. Ale pacjenci nie umierali jej na stole, w miejscu, w którym ponosiła za nich pełną odpowiedzialność.

Przez moment widziała lęk w oczach doktora Storelva. Niepokój pielęgniarek również stał się wyczuwalny. Jakiś niepotrzebny ruch tu, potarcie maseczki tam.

– Dzwonić po jeszcze jednego anestezjologa? Po radiologa interwencyjnego? – Frid Moelv pytała już po raz drugi.

– Nie. Nie! – Sara ledwie poznała własny głos.

Erik Berntsen był jej pacjentem. To ona za niego odpowiadała.

Profesor Sara Zuckerman, MD, PhD, była laureatką Nagrody Mirowskiego w roku 2001, niegdyś dyrektorką Heart and Vascular Institute w Cleveland Clinic w stanie Ohio, obecnie zaś ordynatorem i profesorem w nowoczesnym, wybudowanym za duże pieniądze szpitalu w małej i przebogatej Norwegii. Sama posprząta bałagan, którego narobiła.

Pielęgniarka bez pytania podała jej do ręki grubą strzykawkę.

– Echokardiograf? – spytał nieśmiało doktor Storelv. – Do zweryfikowania czy chodzi o tamponadę?

Jakbyśmy mieli na to czas, pomyślała Sara. Typowo norweskie podejście: kontrola, sprawdzanie, kolejna kontrola. A w tym czasie pacjenci umierają.

– Ciśnienie skurczowe osiemdziesiąt – oznajmiła Frid Moelv – i dalej spada.

Erik Berntsen stracił przytomność. Sara zacisnęła palce na wielkiej pustej strzykawce i wbiła ją ukośnie pod mostek. Zdecydowanie i brutalnie.

Do strzykawki napłynęła ciemnoczerwona krew. Berntsen zachrumkał. Jak świnia. Zachrumkał i odzyskał przytomność.

– Skurczowe sto! – zawołała Frid Moelv, nie ukrywając zachwyty i radości, że wszystko idzie w górę, i to dosłownie. Ciśnienie rosło. – Sto dziesięć na osiemdziesiąt! – prawie krzyknęła, aż Sara się uśmiechnęła.

– Zorro niedawno został ojcem – wybełkotał Erik Berntsen – ośmiu prześlicznych sznauceków.

Sara Zuckerman nie odpowiedziała. Podłączyła cewnik do igły, którą przed chwilą z całej siły wbiła w worek osierdziowy pacjenta. Ciemnoczerwona krew spływała powoli.

– Tamponada ustąpi sama z powodu ciśnienia – powiedziała, prostując się. – ICD ty się zajmiesz, Sivert. Przeprowadź standardowe programowanie ze strefą VF ponad dwieście dwadzieścia i strefą VT ponad sto osiemdziesiąt, kiedy pacjent zostanie przewieziony

na OIOM. Zrób to od razu, dobrze? Sprawdzę później. Eivind, tym razem darujemy sobie test defibrylacji.

Z powodu tamponady pełne testowanie ICD mogło być zbyt ryzykowne. Wywoływanie migotania komór było w tym stanie pacjenta zdecydowanie niewskazane.

– Dziękuję wszystkim za pomoc.

Ruszyła do drzwi sali operacyjnej, od razu ściągając rękawiczki. Zrzuciwszy ołowiany fartuch, poczuła, że jest cała mokra. Kiedy lepki chłód owionął jej pierś, aż jęknęła.

– Ta stażystka już nigdy nie przekroczy progu mojej sali operacyjnej – oświadczyła, nie zwracając się konkretnie do nikogo, i nogą otworzyła wahadłowe drzwi. – A jeśli to będzie zależało ode mnie, to nie wejdzie już na żadną operację.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, uświadomiła sobie, że nie odezwała się ani słowem do pacjenta, odkąd przywróciła go do życia. Ale to było bez znaczenia, bo i tak nie miała mu nic do powiedzenia.

Godzina 02.48

Upper East Side, Manhattan, Nowy Jork

Rebecca już dawno nie spała. Od czasu do czasu oczywiście pogrążała się w drzemce, zwłaszcza gdy złośliwe poranne światło wpadało do środka przez wysokie okna, ujawniając otaczający ją brud. Zdarzało się wtedy, że zamykała oczy, by odciąć się od tej ruiny. Później budziła się z drgnieniem w fotelu i stwierdzała, że wskazówki zegara na ścianie przesunęły się o godzinę czy dwie, a ona nie miała pojęcia, co się w tym czasie działo. Podczas tych chwil bez przytomności nic jej się nie śniło.

Zasłony, lepkie od kurzu i nikotyny, nie chciały jej słuchać, gdy podejmowała próby niewpuszczania dnia do środka i zdejmowała plecione sznury z mosiężnych zaczepów, żeby zasłonić okna. Były momenty, że myślała, iż to jej brakuje sił, chociaż starała się nie zwracać uwagi na udręczone reumatyzmem dłonie i zniekształcone palce, które nie pozwalały jej zasnąć, gdy z rzadka uznawała położenie się do łóżka za wartę zachodu. Ramiona miała tak chude, że dłonie przypominały orle szpony. Kiedy odór starego ciała stawał się dokuczliwy, brała prysznic, ale zawsze wtedy wstrzymywała się z rozbieraniem dopóty, dopóki z trudem nie zasłoniła łazienkowego lustra ręcznikiem. Na jej twarzy wciąż widać było ślady dawnej urody, czasami też, na przykład gdy wiedziała, że syn do niej jedzie, podejmowała wysiłek, by trochę się umalować. Ale ciało przestało już do niej należeć. Zakrywała lustro i kąpała się z zamkniętymi oczami.

Położenie i wielkość mieszkania, wysokie okna, niegdyś drogie meble i obrazy na ścianach mogłyby opowiedzieć o zupełnie innej epoce, gdyby ktoś zechciał poświęcić czas na ich słuchanie. Ponieważ z wyjątkiem syna kilka razy w roku i posłańca ze sklepu Samson's Fast Food & Liquor, który nie był wpuszczany dalej niż do holu, nikt tu nie zachodził, okazały apartament na trzydziestym drugim piętrze był jedynie pustą skorupą otaczającą sześćdziesięcioletnią kobietę, która chodziła po nim, szurając nogami

w poplamionych kapciach, i wyglądała na staruszkę.

Ta noc była gorsza niż zwykle. Rebecca wpatrywała się w butelkę wódki Absolut i nie bardzo mogła zrozumieć, dlaczego tak mało w niej zostało. Z rezygnacją wylała resztkę do wysokiej szklanki i wypłała bez rozcieńczania wodą.

Zwykle wybierała o wiele tańszą amerykańską i pozbawioną smaku wódkę. Ta skandynawska miała smak czarnych porzeczek i była prezentem od jedyne go człowieka, który wciąż o niej myślał. Podarunek nieco ją zdumiał, bo on przecież nienawidził jej picia. Schowała butelkę w głębi ogromnej komody w największym salonie z nadzieją, że o niej zapomni. Teraz, pół siedząc, pół leżąc w zniszczonym fotelu z serwetką na zagłówku tak nasiąkniętą łojem z włosów, że aż się lepiała, nie potrafiła sobie przypomnieć, dlaczego właściwie zła mała daną samej sobie obietnicę.

Czarny jak noc majowy deszcz rysował smugi na szybach. Migotały odbite światła wielkiego miasta. Wiedziała, że kiedy w końcu przestanie padać, jeszcze trudniej będzie rozróżnić szczegóły przepięknego widoku, który swego czasu sprawiał jej tyle radości. Na przemian deszcz i brud, deszcz i kurz, deszcz i lepkie zanieczyszczenia zapieczone na słońcu w twardą skorupę zmieniły z upływem lat jej szyby w krzywe zwierciadła. Wciąż wprawdzie widać było przez nie miasto, to gigantyczne miasto, do którego kiedyś i ona należała, lecz gdy czasami stawała przy opornych zasłonach, widziała w nich przede wszystkim własne zniekształcone odbicie.

Choć Rebecca wciąż miała siłę, by utrzymywać w mieszkaniu jako taki porządek, nie licząc przepelnionych popielniczek w kuchni, w sypialni i tych dwóch w najmniejszym pokoju, to jednak sztywność i bóle uniemożliwiały jej prawdziwe sprzątanie. A pomoc domową zwolniła już dawno.

Dłonie jej się trzęsły, kiedy zapalała papierosa.

Nie drżały, tylko się trzęsły, tańczyły i dygotały, jakby walczyła z daleko posuniętym parkinsonem. Może zresztą cierpiała i na to. Od ostatniej wizyty u lekarza minęły już trzy lata. Wcześniej sama stawiała precyzyjne diagnozy – zarówno sobie, jak i innym. Była przecież sławnym diagnostą. Teraz jedynie domyślała się niedożywienia i marskości wątroby, oprócz oczywiście bezspornego artretyzmu.

Ale nawet tego nie jestem pewna, pomyślała, śledząc wzrokiem kółko z dymu, które uniosło się pod sufit i rozwiało w szarobiałą nicość.

Na przeciwległej ścianie niemo migotał odbiornik telewizyjny. Przywiózł go syn, kiedy ostatnio przyjechał. Czterdziestodwucalowy płaski ekran HD. Orty był taki troskliwy i tylko on umiał ją przekonać, żeby nie piła tak dużo, tak szybko i tak bez przerwy, bo może od tego umrzeć. Mimo nasiąkniętego alkoholem mózgu wciąż umiała obliczyć, ile potrzeba do śmierci. Ale z takiej dawki rezygnowała, bo przecież miała jego, kochanego chłopca, dobrego syna, który mieszkał tak daleko, ale dzwonił co tydzień o tej samej porze – jedyny jasny punkt, jaki pozostał w jej życiu. Przywiózł jej ten olbrzymi telewizor i zrobił to z czułością. Nie mogła tylko pojąć po co.

Jakość obrazu miała dla niej niewielkie znaczenie. I choć odbiornik nigdy nie był wyłączany, Rebecca i tak nie oglądała telewizji. Na ogół czytała. Na chybił trafił wyciągała

jakąś pozycję z bogatego księgozbioru i wodziła wzrokiem po kartkach, żeby zabić czas. Telewizor po prostu był włączony, na ogół bez dźwięku, i przypominał jej o wszystkim, co już nie należało do niej.

Na przykład o życiu.

Godzina 09.53

Szpital Uniwersytecki Grini

Lars Kvamme szedł zygzakiem między samochodami na przepelnionym parkingu, nie zastanawiając się nad niezwykłą pogodą. Słońce stało już wysoko na niebie, bardziej niebieskim, bardziej pogodnym i bardziej rozgrzanym niż w piękny lipcowy dzień. Jakby ostra, zdająca się nie mieć końca zima wystawiła weksel do natychmiastowej realizacji: od razu ma być lato.

Specjalista kardiolog Lars Kvamme nawet nie podniósł głowy. Usiłował przełknąć kwaśne odbicie, spod którego przebijał głód, postanowił więc przed rozpoczęciem pracy zajrzeć do bufetu.

Zerknął na zegarek i cicho zaklął, zbliżając się do gigantycznych automatycznych drzwi z piaskowanego szkła. Był prawie półtorej godziny spóźniony. Osiemdziesięcioletnia ciotka żony przyjechała z Lillehammer na weekend i właściwie miała zostać odesłana odwrotną pocztą już w niedzielę, ale nabawiła się lekkiego przeziębienia, które w umyśle żony urosło do groźnego zapalenie płuc. Obie kobiety ustaliły, że ciotka zostanie, dopóki nie poczuje się lepiej.

Larsa nikt nie pytał o zdanie. Gdy wreszcie dziś rano miał wsadzić ciotkę do pociągu, okazało się, że odjazd znacznie się opóźni. Ominęła go więc poranna odprawa.

W olbrzymim holu, w którym mieściły się kiosk, kawiarnia, kwaciarnia i spora księgarnia przy bibliotece, rozzłościł się jeszcze bardziej. Zarówno na to, że wejście do nowego szpitala przypominało raczej centrum handlowe, co irytowało go codziennie, jak i na wspomnienie ostatniej porannej odprawy.

Chodziło o blahostkę, o zmarłego emeryta. Oczywiście smutna sprawa dla bliskich, ale trudno tu mówić o tragedii. Mężczyzna miał siedemdziesiąt kilka lat i przywieziono go z ostrą dekompensacją niewydolności serca. Nie można jednak powiedzieć, żeby Lars Kvamme się nie przejmował – rozmowa z pogrążonymi w żałobie krewnymi za każdym razem, gdy natura nie pozwalała się pokonać nowoczesnej medycynie, należała do najmniej przyjemnych stron jego pracy.

Ze wzrokiem wbitym w podłogę maszerował w stronę jasnego bufetu dla personelu, zamkniętego dla pacjentów, a mieszczącego się na półpiętrze od zachodniej strony. Przez szklany dach, wygięty ukośnie ku skrzydłu chirurgii, wpadało słońce, rażąc go w oczy.

Sara Zuckerman nie powinna się wtrącać w jego metody leczenia pacjentów. A nawet gdyby chciała wykorzystać fakt, że jest jego przełożoną, to powinna odbyć z nim rozmowę w cztery oczy. Mógłby wtedy normalnie zaprotestować przeciwko zarzutom niewłaściwego

zajęcia się pacjentem, a zatem obwinianiu go o jego śmierć. Zamiast tego siedział jak idiota, czerwony jak burak, on, pięćdziesięcioletni mężczyzna, specjalista kardiolog z trzydziestoletnią praktyką. Zaczerwienił się i nie był w stanie się bronić.

Od początku tak się zachowywała. Arogantka, która pozjadała wszystkie rozumy! Cholerna Amerykanka! Chociaż ktoś twierdził, że pochodziła podobno z Tromsø.

Trzej koledzy z oddziału siedzieli przy swoim stałym stoliku i śmiali się z czegoś głośno, ale na jego widok ucichli tak gwałtownie, że Lars Kvamme aż się zatrzymał. Znowu poczuł gorąco rozlewające się po ciele.

Zmusił się do uśmiechu, na który nikt nie odpowiedział, i lekko uniósł rękę. Ale żaden z kolegów się nie ruszył ani nie zachęcił go, żeby się przysiadł.

Słońce świeciło tak mocno, że prawie nie widział ich twarzy, jedynie ciemne zarysy postaci, wrogie sylwetki, którym daleko było do jego pozycji i doświadczenia, a które mimo to stanowiły żywe przypomnienie o tym, jak został przez Sarę Zuckerman pominięty, gdy w nowym szpitalu uniwersyteckim obsadzano kierownicze stanowiska i mianowano profesorów.

Przeklęta... przeklęta... przeklęta Żydówka, pomyślał, zawrócił na pięcie i głodny ruszył w stronę swojego gabinetu.

Godzina 20.15

Markveien, dzielnica Grünerløkka, Oslo

– Co za miejsce! Nie sądziłem, że na Løkka są takie duże mieszkania!

Sverre Bakken, starszy inżynier w Mercury Medical, uśmiechnął się nerwowo, gdy dostał do ręki kieliszek, i rozejrzał się za jakimś miejscem, w którym mógłby usiąść. Możliwości było wiele. Tuż przy dużych szklanych drzwiach prowadzących na taras stała skórzana kanapa z fotelami, a przed kominkiem na środku pokoju – dwa głębokie fotele z pufami. Stół łączący otwartą kuchnię z wielkim salonem nakryto dla trzech osób, co trochę go zmieszało. Był przekonany, że będą tylko we dwóch. W każdym razie wiedział, że jeszcze nie pora, by siadać przy stole.

– Wypijmy – zaproponował Morten Mundal, unosząc kieliszek. – Usiądźmy na tarasie. Ta pogoda jest niesamowita, prawda?

Sięgnął po pilota i po sekundzie szklane drzwi otworzyły się z cichym szumem. Sverre Bakken zaśmiał się z leciutkim przymusem.

– O rany! Co to za mieszkanie!

– Połowę kupiłem już kilka lat temu – odparł Morten. – Dosłownie za grosze. Wyremontowałem i od tamtej pory po prostu tu mieszkam.

Poszedł przodem na taras i wskazał na dwa ogrodowe krzesła rozdzielone szklanym stolikiem. Słońce wciąż było widoczne ponad dachami, a świeciło tak ostro, że Sverre sięgnął do kieszonki na piersiach po ciemne okulary.

– A potem przyszedł kryzys finansowy – ciągnął Morten. – Jesienią dwa tysiące ósmego

roku rynek mieszkaniowy runął z hukiem, jak zapewne pamiętasz. Akurat wtedy moi sąsiedzi stwierdzili, że nie mogą dłużej na siebie patrzeć, chociaż są małżeństwem i mają czteroletnie dziecko. Postanowili sprzedać mieszkanie. Kupiłem je od nich za nieduże pieniądze i później czas spędzałem najpierw na kłótniach z gminą o zgodę na połączenie tych dwóch mieszkań, a następnie z robotnikami o to, co naprawdę da się tu zrobić. Obie rundy wygrałem, jeśli mogę tak powiedzieć. – Uśmiechnął się szeroko i usiadł, wskazując gościowi drugie krzesło. – Mercury Medical dba o swoich ludzi – zakończył, jeszcze raz unosząc kieliszek.

Sverre Bakken nie odpowiedział. Wypił łyk, w myślach usiłując oszacować, ile taki lokal może być wart. Jeszcze nigdy nie był w tak dużym i tak wyrefinowanym urządzonym mieszkaniu w samym środku najmodniejszej i najbardziej młodzieżowej części miasta. Kiedy Morten zaprosił go na kolację i podał mu adres, zdziwiło go, że szef Mercury Medical na Europę Północną mieszka na Grünerløkka, w dawnej dzielnicy robotniczej. W zeszłym roku, kiedy w sieci pojawiły się zeznania podatkowe, sprawdził jego zarobki: Morten Mundal wyciągnął ponad trzy miliony. Jego miejsce było raczej w apartamentowcu z windą i garażem w piwnicy.

Teraz, z pełnym kieliszkiem w ręku i wieczornym słońcem świecącym mu w twarz, na wielkim, osłoniętym przed wzrokiem innych tarasie na dachu, zaczęło mu wszystko do siebie pasować.

– Kurs poszedł dziś w górę o zero osiem procent – powiedział, mrużąc oczy mimo okularów.

– Akcje Mercury Medical zawsze idą w górę – odparł Morten. – Właśnie dlatego to nie może się nie udać!

W milczeniu stuknęli się kieliszkami.

Sverre Bakken wciąż czuł się niepewny w towarzystwie Mortena. Kiedy wczesną wiosną po raz pierwszy padło pytanie, czy skoczą gdzieś na browara, nie mógł pojąć, dlaczego dyrektor północnoeuropejskiego oddziału Mercury Medical miałby czuć chęć do bratania się z takim zwykłym programistą jak on. Chociaż propozycję oczywiście przyjął, odmowa byłaby nieuprzejma, a co za tym idzie – niemądra. Przy drugim piwie odrzucił pomysł, że chodzi o podryw. Brat bliźniak Sverrego był gejem, więc jego radar wychwytyjący podobne przypadki działał w stu procentach.

– Å propos optymizmu. – Morten ostrożnie odstawił szklanekę na stolik. – Czy Ingunn ustąpiła w kwestii dzieci?

Sverre milczał. Nie chciał rozmawiać o rozwodzie.

– Właściwie nie – odparł krótko i dopił szampana długim łykiem. – Nie chce mi się o tym gadać.

Na ogół jednego kieliszka w ogóle nie zauważał, ale tym razem nieoczekiwanie alkohol trafił go szybko i mocno. Mimo to nie zaprotestował, kiedy Morten sięgnął po butelkę do stojącego na podłodze wiaderka z lodem i znów mu nalał.

– Będzie jeszcze lepiej – oznajmił gospodarz spokojnie. – Spójrz tylko na to.

Z kieszonki na piersi wyjął złożoną kartkę, którą Sverre wziął od niego i rozprostował

na udzie.

– Jestem inżynierem, a nie maklerem giełdowym. Co to wszystko znaczy?

Morten uśmiechnął się i wygodnie rozsiadł w fotelu. Obrócił twarz do słońca i zamknął oczy.

– Od założenia Mercury Medical minęło dziewięć lat – powiedział cicho. – Mniej więcej trzy tysiące dwieście dni. To, co trzymasz w ręku, jest zestawieniem dni, w których kurs akcji w chwili zamknięcia giełdy był znacząco niższy, niż kiedy ją otwierano. Trzysta pięćdziesiąt dni, Sverre! – Wyprostował się gwałtownie i nachylił nad szklanym stolikiem. – Trzysta pięćdziesiąt dni z trzech tysięcy dwustu! Tylko trochę ponad dziesięć procent!

– Minus te, w które giełda jest zamknięta.

– Tak, tak, tak. – Morten machnął ręką. – Wszystko jedno, to i tak są fantastyczne liczby! Mercury Medical to nie tylko jedna z największych spółek na świecie, Sverre, ale do tego na wskroś solidna. Trudno wskazać inną, która by się równie świetnie trzymała, przetrwała zmienne koniunktury, kryzysy finansowe... i tak dalej. Całkiem po prostu jest tak, że na Mercury Medical nie można stracić. Wszyscy wierzą, że tak będzie dalej! – Z entuzjazmem rozłożył ręce, strącając dłonią kieliszek, który poleciał aż do ściany i tam się rozbił.

– Skoro tak mówisz – powiedział Sverre, nie reagując na ten występ. – Mam nadzieję, że masz rację. Naprawdę mam taką nadzieję.

W przypiływie niechęci i głębokiego żalu, że się na to wszystko zgodził, po raz drugi opróżnił swój kieliszek.

Godzina 07.37

Siedziba główna Mercury Medical, Manhattan, Nowy Jork

Dłoń ochroniarza na ramieniu Davida Crowa miała osobliwy ciężar. Nie było to przyjacielskie poklepanie po plecach, gest rozpoznania czy po prostu pozdrowienie. Uścisk właściwie nie był mocny, ale bardzo zdecydowany – rozkaz, by stanąć w miejscu, wydany z taką stanowczością, że David się zgarbił.

Nie wiedział, który ze zwykle zachowujących się jak kumple mężczyzn w granatowych uniformach stoi teraz za nim. W ogóle myślał, że to jeden z nich, wynikała właśnie z ciężaru tej ręki.

Nacisk wielkiej dłoni wywoływał w nim wręcz niepohamowaną chęć ucieczki. Zrozumiał, że został przyłapany, i od razu się domyślił, że to ta dziwka Holly doniosła. Ale większości jej zarzutów mógł się po prostu wyprzeć. Słowo przeciwko słowu, a on był dla Mercury Medical ważniejszy niż ona.

Gorzej było z kokainą. Właściwie z kokainą było cholernie źle, bo dostał już dwa ostrzeżenia.

Tu, gdzie teraz stał, przed służą bezpieczeństwa w holu eleganckiego drapacza chmur, w którym mieściła się siedziba główna Mercury Medical, zapanowała cisza, jakby nikt nie wchodził do środka ani nie wychodził na zewnątrz. Został sam z ciężką ręką na ramieniu i wszystko się skończyło. Tak samo jak w dniu jego jedenastych urodzin.

Niechętnie wracał myślą do tamtego dnia, ale teraz jego wspomnienie samo cisnęło się do głowy.

Ojciec wyprawił mu pierwsze urodzinowe przyjęcie od lat. Zażenowany, ale dumny David rozdawał zaproszenia. Piętnastu chłopców dostało kartki z Batmanem na froncie i godziną oraz adresem starannie wypisanymi na odwrocie. Przyszło tylko czterech. Czterech to zdecydowanie mniej niż piętnastu, ale czterech przyjaciół to i tak więcej niż żaden, więc ojciec robił dobrą minę do złej gry. Wysprzątał dom. Kupił tort, prawdziwy, obłany lukrem tak białym, że trzeba było niemal włożyć ciemne okulary, by móc na niego patrzeć. W ciasto wetknął świece. Nad wejściem do kuchni wywiesił błyszczące papierowe litery, układające się w napis „HAPPY BIRTHDAY”. David ogromnie się cieszył i w napięciu rozpakowywał prezenty tak wolno, że zniecierpliwieni goście zaczęli się obrzucać kulkami z papieru.

Mama obiecała, że nie wstanie z łóżka. I David był spokojny, wiedząc, że nie da rady zejść do salonu bez względu na to, jak bardzo by chciała. Potrzebowała pomocy nawet przy siadaniu na wiadrze, które przecież stało w sypialni.

Ale przyszła. Spadła.

Akurat w chwili, gdy David miał zdmuchnąć świece na torcie, gdy zaczerpnął głęboko powietrza i nachylił się nad jedenastoma migoczącymi płomykami, gwałtowny rumor kazał mu się wyprostować.

Huk od strony schodów zmusił wszystkich do popatrzenia w tamtym kierunku.

Mama spadła.

Nikt już nie wiedział, ile mogła ważyć. Tata zgadywał, że jakieś ponad dwieście kilogramów. Nie dało się kupić wagi, która oceniłaby taki ciężar. To zresztą nie miało żadnego znaczenia. Mama spadła z samej góry schodów – kluchowaty ludzki potwór, którego nie zdołała powstrzymać nawet balustrada, gdy już raz nabrał rozpędu. Zleciała na sam dół, na podłogę parteru w niedużym salonie, znieruchomiała z jednym kolosalnym udem wykręconym pod dziwnym kątem i twarzą ślepo obróconą do sufitu.

Chłopcy zaczęli się śmiać. Najpierw nastąpiło małe prychnięcie, zakazany chichot, do którego szybko dołączyły inne głosy. Śmiech. Przenikliwy chłopięcy śmiech, trochę wymuszony i przestraszony. David z tą podbiegli do mamy.

Leżała nieruchomo. Góra tłuszczu.

Włosy wyglądały jak namalowane na głowie tłustą farbą. Monstrualne piersi rozsunęły się w dwie strony i ułożyły na ramionach jak miękkie piłki plażowe. Leżała na plecach, przygniatając ciałem jedną nogę, jakby amputowaną. Niczym na potwierdzenie słów lekarza, że ręce i nogi z czasem muszą jej umrzeć. Tylko twarz mamy była ładna. Nawet teraz, z półotwartymi ustami, z których wciąż leciała ślina. Miała prześliczną drobną twarzyczkę z delikatnymi rysami, w które David wpatrywał się w bezsenne noce. Brał zdjęcie mamy z czasów, kiedy miała siedemnaście lat i była po prostu duża. Ta mała twarz już wtedy nie pasowała do ogromnego cielska. Twarz i ciało. To pierwsze piękne, to drugie ohydne, jakby nie należały do siebie. To twarz była prawdziwa. Prosty, leciutko zadarty nos, który David po niej odziedziczył, ciemne oczy w kształcie migdałów, które walczyły z wałkami tłuszczu i potrójnymi powiekami o możliwość pokazania się w całej swej paradoksalnej krasie. Mama istniała w miękkich różowych wargach, które co wieczór całowały go w policzek, gdy przychodził do pokoju wyposażonego we wzmocnione metalem łóżko, zanim poszedł spać do własnej sypialni.

Tata z płaczem złapał Davida za ramię.

Mama pustym wzrokiem wpatrywała się w sufit. Tata szlochał, miażdżąc Davidowi bark. Chłopcy się śmiali. Mama dalej tylko się patrzyła, a on w końcu uciekł.

Tego wieczoru uciekł tak daleko, że policja znalazła go dopiero trzy dni później.

Ochroniarz coś mówił. David nie słyszał co. Naprawdę nie słyszał. Czuł jedynie ciężar jego dłoni na ramieniu i nagłą pewność, co się teraz stanie. Tym razem nie będzie mógł uciec. Wyprostował się, wyswobodził z uścisku i odwrócił twarzą do strażnika.

– Charlie – uśmiechnął się, rozpoznając mężczyznę. – Chcesz mnie aresztować? A ja myślałem, że to będzie zwykły dzień.

Podsunał mu ręce ze złączonymi nadgarstkami i dłońmi lekko zaciśniętymi w pięści. A kiedy Charlie, nie zważając na ironię, znów złapał go za rękę, tym razem za chude przedramię, David wzruszył ramionami.

Razem przeszli do biura ochrony mieszczącego się za czterema windami. Wielki Charlie popychał przed sobą chuderlawego dwudziestotrzylatka z rozkojarzonym spojrzeniem.

Kiedy David poczuł jego dłoń na ramieniu, wystraszył się. Śmiertelnie się przeraził, musiał to przyznać. Ogarnęła go nagła pewność, że wszystko skończone. Tak jak wtedy, gdy mama spadła ze schodów, a śmiech chłopców umilkł, dopiero kiedy od niego nie uciekł.

Ale zaraz znów był sobą.

Gdy kątem oka ujrzał Petera Adamsa, który zbliżał się z miną wyrażającą rozczarowanie i pełen rezerwy chłód, ponownie zachichotał.

– Nie ma mowy – mruknął i już zaczął wymyślać historię, która kolejny raz miała go wyratować z tarapatów.

David William Crow junior był bowiem młodym geniuszem, bez którego firma Mercury Medical nie mogła się obyć.

Godzina 07.02

Szpital Uniwersytecki Grini

Pielęgniarka na widok pustego łóżka nawet się nie zaniepokoiła. Stan pacjenta się poprawiał. Poprzedniego wieczoru spacerował po korytarzu, obejrzał wiadomości w salce telewizyjnej, rozmawiał z innymi chorymi i zasnął wcześniej bez środków nasennych. Teraz prawdopodobnie poszedł do toalety.

Na chwilę przystanęła. Z przylegającej do pokoju łazienki nie dochodził żaden dźwięk. Zauważyła, że przybory toaletowe leżą na szafce. Postawiła pustą szklankę na talerzyku z okruszkami i plamką po dżemie, ale zmieniła zdanie. Odłożyła brudne naczynia i lekko wsunęła rękę pod kołdrę. Zaledwie resztką ciepła.

W łazience wciąż panowała cisza.

– Halo – powiedziała ostrożnie, przykładając ucho do czerwonych drzwi. – Panie Berntsen? Jest pan tam?

Nikt nie odpowiedział, więc cofnęła się o krok. Cyfrowy wyświetlacz pokazywał, że drzwi nie są zamknięte od środka. Niezdecydowanie położyła rękę na klamce. Drzwi się uchyliły.

Łazienka okazała się pusta. W prysznicu i dookoła było sucho. Odór porannego moczu kazał jej zajrzeć do sedesu. Pacjent w każdym razie się wypróżnił. Skrzywiona spuściła wodę.

Szybko zaczęła sprawdzać pokój. Ubranie zniknęło. Telefonu komórkowego, o którym tyle razy mu powtarzała, że nie powinien go używać na terenie szpitala, również nigdzie nie było widać. Śmiał się pogardliwie, twierdząc, że nie ma żadnych dowodów, by promieniowanie z komórki mogło zakłócać pracę czułych medycznych urządzeń, ale dla niej regulamin był regulaminem i należało się do niego stosować bez względu na to, co o tym sądzi stary profesor.

Po otwarciu dwudrzwiowej szafy przy oknie zobaczyła walizkę i płócienny worek wypełniony książkami.

Nieco bezradna znieruchomiała na środku pokoju.

Przecież zaledwie przed dwoma dniami mężczyzna przeszedł dość poważny zabieg, zważywszy na jego wiek. W dokumentach czytała też, że nie obyło się bez problemów.

Kilka razy nerwowo przeczesała palcami włosy, po czym sięgnęła po brudny talerzyk ze szklanką i wyszła z pokoju. Może Erik Berntsen krąży gdzieś po korytarzach. Prawdopodobnie wszystko było w najlepszym porządku.

Gdy jednak drzwi się za nią zamknęły, a ona nie zobaczyła go ani na lewo, ani na prawo od siebie, znów się zawahała.

Nie bardzo jej się to podobało. Była odpowiedzialna za to, co dzieje się na oddziale, a leżący tu pacjenci powinni się stosować do jej zaleceń, a już na pewno nie krążyć po szpitalu na własną rękę.

Kiedy szła w stronę sali telewizyjnej, sandały tak mocno stuknęły o linoleum, jakby były drewniakami.

– Erik Berntsen gdzieś zniknął – rzuciła ostro do salowego, który popychał przed sobą puste łóżko. – Pokój trzysta jeden. Nie widziałeś go?

Salowy wzruszył ramionami. Nie chciało mu się nawet odpowiadać.

Godzina 07.26

Gjettumkollen, Bærum

– Nie zgadzam się i tyle!

Tobias Farmen właśnie skończył siedem lat i wbił sobie do głowy, że będzie się ubierał wyłącznie na czarno. Stał do pasa nagi w pokoju, który dzielił z siostrą bliźniaczką Tarą. Przed chwilą cisnął w kąt czerwony sweter, po czym skrzyżował ręce na chudziutkiej piersi.

– Przestań! – zażądał Ola Farmen. – Masz mnie słuchać. Natychmiast wkładaj ten sweter. A poza tym musisz coś włożyć pod spód. Trzymaj!

Podał Tobiasowi niebieski podkoszulek.

– Na dworze jest milion stopni – naburmuszył się chłopiec.

– Tym bardziej nie ma powodu, żeby się ubierać na czarno. Dalej, ruszaj się!

– Ja już jestem gotowa – oświadczyła uśmiechnięta Tara, stając w drzwiach. – Co to jest rytm zatokowy, tato?

Miała na sobie różowe legginsy obcięte pod kolanami i top tak obcisły, że ojciec na jego widok zmarszczył nos.

– Przecież to bielizna, Taro! A poza tym jest na ciebie za mała. Włóż coś na wierzch albo przebierz się w T-shirt. Przecież wczoraj wieczorem wyłożyłem wam ubrania! Mamy taką zasadę...

– Na czarno! – oświadczył Tobias ze złością. – Jak się nie ubiorę na czarno, to w ogóle nie pójdę do szkoły.

– Tato – powtórzyła Tara. – Co to jest rytm zatokowy?

Raz, dwa, trzy, cztery... Ola Farmen zamknął oczy i usiłował głęboko oddychać, jednocześnie licząc do dziesięciu.

– Teraz nie mogę ci tego wytłumaczyć – powiedział z rezygnacją, popychając dziewczynkę w stronę szafy.

– Gdzie mama? – spytał Tobias, wyraźnie nie zamierzając słuchać ojca.

– Mama jest chora – zdenerwował się Ola. – Będziecie robić to, co ja wam każę!

Nie znosił wściekania się na dzieci, a coraz częściej musiał podnosić głos, żeby go słuchały. Ale i tak za każdym razem kończyło się to jego klęską.

– A ty wstawaj! – prawie krzyknął, wsuwając głowę w następane drzwi w korytarzu. – Podnoś się z łóżka, Tarjei!

Dziewiętnastolatek burknął coś i głębiej naciągnął kołdrę na głowę. Był maturzystą

i prawie go ostatnio nie widywali w domu. Wiedzieli, że pije jak gąbka, ale picie chyba należało nieodłącznie do rytuału świętowania matur. Olę Farmena o wiele bardziej niepokoił kwaśny zapach dymu papierosowego coraz częściej unoszący się z ubrań syna. Wielokrotnie usiłował apelować do jego zmysłu estetycznego, ponieważ medyczna propaganda przerażenia spływała po nim jak woda po gęsi. Tarjei tylko wzruszał ramionami i wszystkiego się wypierał. Twierdził, że to wcale nie on palił, tylko inni.

– Palenie jest strasznie niemodne – powtórzył Ola nie wiadomo już który raz.

– Okropnie przestarzałe. Weź się w garść i wstawaj!

– Ale, tato... – odezwała się po raz trzeci Tara. – Muszę wiedzieć, co to jest rytm zatokowy.

– Przecież ty masz siedem lat!

– Dzisiaj mamy rozmawiać o tym, kim będziemy, jak dorośniemy. A ja będę karkologiem tak jak ty. Widziałam u ciebie w książce taki ładny wzorek, który się nazywał rytm zatokowy. Tak cię proszę, tatusiu! – Dolna warga już jej drżała.

– Znajdź papier i ołówek. – Ola z rezygnacją usiadł na trochę na małym obrotowym krześle przy biurku Tobiasa. – Tylko błyskawicznie.

– Tam leżą.

Szybko narysował owal.

– To jest twoje serce – powiedział. – Jest podzielone na cztery pokoje, już ci to wcześniej tłumaczyłem.

Dwiema prostymi liniami podzielił owal na cztery pola; dwa górne były mniejsze od dolnych. Tara kiwnęła głową.

– Żeby twoje serce biło, musi dostać takie polecenie. Jest nim maleńki impuls elektryczny...

– Co to jest impuls, tato?

– Tak naprawdę to takie malutkie wyładowanie prądu. Możemy je nazwać iskrą.

– Iskrą? Mamy w sobie ogień?

– Nie, ale mamy prąd. W naszych komórkach... – Przełknął ślinę. – Za mało jest czasu, kochanie, ale posłuchaj. Te dwa pola tutaj – wskazał górne obszary – to prawy i lewy przedsionek serca. Ich zadaniem jest przepompowywanie krwi tu – ołówek dotknął dwóch komór – tak żeby te dwa duże pokoje pompowały krew do ciała. Najpierw przedsionki dostają polecenie, że mają się skurczyć, a później takie samo polecenie dostają komory. Gdybym cię podłączył do urządzenia, które nazywa się EKG, te polecenia wyglądałyby mniej więcej tak. – Szybko narysował elektrokardiogram. – Raz, dwa – powiedział, wskazując na dwa wyraźne wychylenia na szkicu. – Raz, dwa. Raz, dwa.

– Trąbka gra – uzupełniła Tara.

Ola się uśmiechnął.

– Właśnie tak gra zdrowe serce – pokiwał głową. – I to jest właśnie rytm zatokowy. Ale jeśli z tymi maleńkimi wyładowaniami prądu coś jest nie tak, na przykład... – Rysował dalej krzywą z gwałtownymi wychyleniami w górę i w dół. – To się nazywa arytmia, córeczko. Dwa, dwa, dwa, dwa...

– A tak gra chore serce – stwierdziła Tara poważnie. – Ale ty je możesz wyleczyć, tato.

– Jeśli nie ja, to Sara – uśmiechnął się. – A teraz musimy się już bardzo spieszyć!

– Tato! – zawołała z dołu piętnastoletnia Tova. – Zapomniałeś o drugim śniadaniu dla mnie i dla Thea!

– Już je macie w plecakach! – odkrzyknął Ola, obiema rękami przygładzając włosy.

– Przyjdź na górę pomóc mi przy bliźniakach. Mama całą noc wymiotowała i...

Powinien być w pracy już pół godziny temu. Myśl o tym, że znów spóźni się na poranną odprawę, była nieznośna. To już piąty raz w tym miesiącu. Nie powinien poświęcać tyle czasu Tarze, ale ponieważ dziewczynka jako jedyna z dzieci wykazywała jakiegokolwiek zainteresowanie jego pracą, nie potrafił sobie tego odmówić.

– No a tak? – spytał Tobias, rozkładając ręce.

Włożył czarne dzinsy o dwa numery za małe i czarny T-shirt o tyle samo za duży. Wyglądał jak maleńki zbuntowany nastolatek z zamiłowaniem do gotyku. Obcięte na jeża włosy zakrywała idiotyczna, ciasno związana chustka, również czarna, z szarawą ważką jakby namalowaną bezpośrednio na czaszce. Ważka płakała krwią. Te cztery jaskrawoczerwone krople były jedynym barwnym elementem na całym siedmiolatku.

– Tobias Arab! – zachichotała Tara i trzepnęła brata w tył głowy.

– Przestańcie! Schodźcie oboje na śniadanie.

– Możesz już jechać. – W drzwiach sypialni stanęła Guro. Oczy miała zapuchnięte, a wargi tak blade, że niemal zlewały się z białą cerą.

– Połóż się – mruknął Ola. – Ja się tym zajmę.

– Jedź! – uśmiechnęła się z rezygnacją. – Teraz już dam radę. I tak za często spóźniasz się do pracy. Idź już!

Wahanie Oli było udawane. Zorientował się zresztą, że został przejrany.

– Dziękuję – powiedział więc, zamiast protestować. – Jesteś aniołem.

Odsunęła się, kiedy w przelocie próbował ją pocałować.

– Przecież całą noc wymiotowałam.

– No to trzymaj się. I przypomnij mi, po co nam były te wszystkie dzieci. Ale nie teraz, teraz muszę lecieć.

Czterema skokami pokonał schody i wybiegł z domu, zanim któreś z dzieci mogło go zatrzymać kolejnymi pytaniami. Jeśli będzie jechał jak pirat drogowy, to może jeszcze zdąży na poranną odprawę. Uniknięcie niemych wyrzutów Sary Zuckerman akurat dzisiaj uczyniłoby życie trochę prostszym.

Guro w ciągu dnia na pewno wykuruje się z tej grypy. Chyba że mdłości biorą się skądinąd, pomyślał. I to go na tyle przygnębiło, że szybko włączył odtwarzacz CD, by In the ghetto Elvisa Presleya zagłuszyło lęk. Wciskając gaz do dechy, pocieszał się w myślach, że przecież od ciąży nie rzyga się całą noc.

Kiedy doktor Petter Bråten złapał Sarę Zuckerman za ramię na korytarzu tuż przed salą konferencyjną oddziału kardiologii, wydało jej się, że nawet przez fartuch wyczuła pot na jego dłoni. Bråten miał czerwone policzki i odrobinę za szybko oddychał.

– Erik Berntsen – oświadczył krótko. – Odszedł.

– Odszedł? Co masz na myśli? – zapytała, lecz jednocześnie przyszło jej do głowy, że młodszy kolega użył tego archaicznego wyrażenia na określenie śmierci. Nie zdążyła jednak zareagować na tę informację, bo Bråten dramatycznym tonem natychmiast dodał:

– Zniknął. Po prostu zniknął!

Sara Zuckerman wpatrywała się w niego w milczeniu. Puścił w końcu jej ramię. Cofnęła się nieco i przekrzywiła głowę, patrząc mu w rozbiegane oczy.

– Mów od początku. Oddychaj spokojnie i powiedz mi, co się stało.

Wcale nie chciała, żeby w jej słowach zabrzmiała aż taka wyższość, ale Petter Bråten nie zwrócił uwagi na ton. Rzeczywiście odetchnął głęboko i po chwili namysłu zaczął mówić:

– Berntsena nie było w łóżku o siódmej, gdy pielęgniarka przysłała go obudzić. Nie było go ani w łóżku, ani w pokoju, ani w łazience. Pomyślała, że może poszedł na telewizję albo po gazety, ale szukali już wszędzie. Przepadł jak kamień w wodę.

– Czy... Może wyszedł na własną prośbę?

– Nie. Po prostu zniknął.

Sara Zuckerman spojrzała na zegarek. Erika nie było zaledwie od pół godziny.

– Mam zawiadomić policję? – spytał Petter Bråten.

– Policję? Oczywiście, że nie. Ale dobrze by było, gdybyś zadzwonił do jego żony.

– Ja? Dlaczego ty nie możesz tego zrobić? Przecież mimo wszystko to ty...

– Zadzwonź – poleciła Sara krótko. – Tylko postaraj się jej nie denerwować. Mógł się przecież po prostu wybrać na spacer. Wczoraj wieczorem był w świetnej formie. Nie wzbudzaj niepokoju, bardzo cię proszę.

Zanim Petter Bråten zdążył zaprotestować jeszcze raz, odwróciła się i poszła do swojego gabinetu. Wyjęła z kieszeni pager i próbowała skontaktować się z Olą Farmenem. Już po raz trzeci, odkąd przysłała do pracy. A on wciąż nie odpowiadał. Gdyby nie sympatia, jaką dla niego miała, musiałyby go wezwać na dywanik.

Godzina 01.45

Hotel Plaza, Manhattan, Nowy Jork

Agnes Klemetsen nie mogła zasnąć. Kolacja była wystawna i chociaż Agnes wciąż nie bardzo знаła się na winie, rozumiała, że zawartość kieliszków pasowała do reszty posiłku. Starła się być bardzo ostrożna i ledwie od czasu do czasu zwilżała wargi. Kiedy wróciła do hotelu pół godziny przed północą, przepłynęła jeszcze pięćset metrów w hotelowym SPA i wzięła pół tabletki nasennej, by mieć pewność, że będzie dobrze spać. Oczekiwania jednak nie pozwalały jej zasnąć.

Rozejrzała się po apartamencie. Gdy poprzedniego wieczoru dziennikarz z „VG” ujawnił jej cenę za jedną noc w Plaza, wykazała się na szczęście dostateczną przytomnością umysłu, by odpowiedzieć, że o jej zakwaterowanie i wyżywienie w Nowym Jorku dba Mercury Medical. Podatnicy mogą zatem przyjąć ten w istocie kompletnie zbędny luksus z miążdzącym spokojem. Facetowi nie bardzo spodobała się ta odpowiedź, a Agnes aż bała się sprawdzić w Internecie, czy mimo wszystko nie rozdmuchał sprawy.

Apartament miał blisko sto metrów kwadratowych. Sypialnię z gigantycznym edwardiańskim łóżem oddzielały od dużego salonu ciężkie dębowe drzwi, które zamykały się tak bezszelestnie, jakby za sprawą magii. Przy salonie znajdowała się oddzielna toaleta dla gości. Sama Agnes natomiast mogła się pławić w olbrzymiej łazience z umywalką, toaletą i wanną marki Sherle Wagner. Wprawdzie nie była zbyt mocna w enologii, za to dostatecznie dobrze znała się na wystroju wnętrza, by zapierało jej dech w piersiach za każdym razem, gdy wchodziła do apartamentu na czternastym piętrze. Jedną ścianę łazienki zdobiła fascynująca mozaika z liści i gałęzi, jak gdyby ku przypomnieniu, że tuż za wysokimi wypolerowanymi oknami wychodzącymi na północ leży Central Park.

Agnes Klemetsen wyciągnęła się w łóżku i przyłapała się na tym, że się uśmiecha.

Była jedną z tych kobiet, którym podstawy do zrobienia kariery przyniosła nowa ustawa z 2006 roku o parytecie płci w zarządach spółek, chociaż bez niej też pewnie by sobie poradziła, bo CV miała niezwykle solidne. Skończyła ekonomię w Norweskiej Wyższej Szkole Handlowej, a następnie zrobiła doktorat w London School of Economics. Ze stosunkowo podrzędnego stanowiska w spółce, która kiedyś nazywała się Kværner, Agnes przeszła pod skrzydła magnata przemysłowego Kjella Ingego Røkke, kiedy Kværner wykupiono i włączono do potężnego koncernu Aker. Strategicznie zawsze głosowała na Partię Pracy i w drodze na szczyty w Aker została jesienią 2005 roku wyłowiona przez świeżo upieczoną minister finansów Kristin Halvorsen. Agnes poczuła się zaszczycona. Z wdzięcznością przyjęła jedną trzecią dotychczasowej pensji, a jedną szóstą tego, co zamierzała osiągnąć w ciągu roku czy dwóch, i została sekretarzem stanu w resorcie finansów. Tkwiała tam do marca 2007 roku, gdy podziękowała za współpracę z pełną rezygnacją świadomością, że polityk, który przekracza drzwi ministerstwa, powinien porzucić wszelką nadzieję – natychmiast przechodzi metamorfozę i staje się kukielką w sieci zwykłych urzędników, którzy wiedzą lepiej i o wszystkim decydują sami. W rzeczywistości Norwegia spółka z o.o. pozostawała pod ich kierownictwem.

Dla osób formatu Agnes Klemetsen istniały ciekawsze obszary.

Zapotrzebowanie na kompetentne, najlepiej bezdzietne, ciężko pracujące i skore do poświęceń kobiety było w gospodarce ogromne. Ponieważ urzędy publiczne w walce o spełnienie wymogu co najmniej czterdziestu procent kobiet w zarządach musiały być w awangardzie, wśród ofert pracy można było przebierać.

Ta jednak była najlepsza.

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź www.legimi.com